

WŁODZIMIERZ SZTURC

„Gdzieś tam ponad tęczę...”

Co właściwie można powiedzieć o człowieku, który kochał Lisa z *Matego Księcia*? Taka sytuacja: egzamin magisterski. PWST w Krakowie. Jeden z abiturientów na pytanie pani dziekan – Ewy Lassek – o to, co robi w teatrze w Opolu, powiedział: „Nic szczególnego. Grałem tam taką jedną postać”. „Jaką postać?”, zapytała. „Lisa”. „Lisa grasz. W *Małym Księciu* grasz Lisa? A ty wiesz, co ten Lis mówi?” „No... mówi, że oszukuje ludzi i że tak jest jakoś na tym świecie.” Ewa Lassek spojrzała na niego z wyrzutem: „Lis mówi, że nie można oszukiwać bezkarnie”. Odwróciła się do okna, patrząc w nie długo myślała o Lisie...

Kiedyś przyszła do szkoły płacząc: „Pani profesor – pytają studenci – co się stało? Na świecie wiosna!” „Właśnie dlatego.”

Po egzaminach wstępnych do PWST, w której była najbardziej kochanym profesorem, najbardziej trudnym i dlatego najbardziej kochanym, zaprosiła mnie na obiad do Baru Krakowskiego. Tam, przed pierwszą, zamówiliśmy napój gazowany, zwany Krysią. Znajomy kelner podał, co trzeba. W pewnej chwili ten sam kelner przyniósł jej karteczkę. Była to serwetka, a na niej jakieś niewyraźne litery. Wyszliśmy. Na piętrze szkoły odczytała karteczkę. Było tam napisane: „Czyżby pani – ta Smosarska?” Podpis: „portier z teatru Ateneum”. Nosiła tę karteczkę długo...

Była zima. Egzamin na trzecim roku PWST. Mikołaj Grabowski, *Fantazy*. Spóźniła się na egzamin. Weszła w połowie pierwszej sceny i rzekła: „Kupiłam grejfruty. To jeszcze jedyne, co można w tym kraju zjeść”. Usiadła i oglądała ten spektakl. Z siateczką z owocami w dłoni.

Dialog ze szpitala. Koniec maja 90 roku. „Ty się mnie pytasz, co to jest aktorstwo? Dziecko, to jest sto procent talentu i nic więcej... Albo ma się talent, albo się go nie ma.” Mówiła wyraźnie akcentując: „i”, końcówce „i” w słowie: talent. Uniosta głowę: „Nie potrafię mówić o aktorach ani nie powiem ci, co to jest aktorstwo. Mogę opisać. Wiesz, aktorstwo to są takie temperatury, to są takie fluidy, które w życiu występują w niewielkim stopniu. Temperatura to jest dramat człowieka wpisany w postać. Oczywiście głos. Tak. Głos jest ważny. Jeśli ktoś ma głos, to całą pracę ma już za sobą. A ja nie mogę nawet średnicy uchwycić. Tej średnicy, którą zawsze miałam, która zawsze mi pomagała, którą we wszystkich moich stanach tapałam naturalnie, bez przeszkód, tak że moje usta mówiły bez nakładu moich sił. Ale to wynikało z godności, którą posiadałam i której nie straciłam. Aktor musi być godny. Inaczej nie może się pokazywać. No, ale chodźmy zapalić sobie”. W różowej piżamce, w miejscu podtrzymywanym gumką, schowane Caro. „Pani profesor, pani nie powinna palić?”. „Tak, nie powinnam, ale tu jest takie miejsce, gdzie można palić, tam wszyscy palą.” Boczny wejściem z radioterapii B wyprowadziła mnie na ostatnie piętro budynku i tam na dwóch zniszczonych i zdezelowanych fotelach dentystycznych, wyrzuconych z gabinetu odbyła się dalsza część rozmowy. „No i co tam w teatrze?” „Nie wiem, czy pani profesor widziała ostatni spektakl Lupy?” „Nie, nie widziałam. Ostatni spektakl, jaki widziałam, to był *Escorial* w Mandali, taki młody chłopak, Tomek Kowalski, on reżyserował, zaprosił mnie tam, oglądałam to. To taki zdolny człowiek. Potem poszłam już do szpitala. Nie widziałam Lupy. Ani *Braci*, ani *Szkiców*. Ale jest to jedyny artysta, który na tym świecie tworzy teatr. Miałam z nim zabawną przygodę. Prawie anegdota. Tak. Kiedyś, jak zaczynałam pracę w Starym Teatrze, chciałam, żeby coś tam zagrała, a ja, ja właściwie nie chciałam grać u Lupy, bo ktoż to był Lupa wtedy? I przyjechał do mnie Radwan, i prosił mnie, żebym zagrała rolę Księżnej w spektaklu Lupy, w *Bezimiennym dziele*. Pomyślałam sobie: Księżna, piękna rola. Księżna. I pytam, czy ma dramat ze sobą, a Radwan mówi, że nie ma tego dramatu, że musi go dopiero przywieźć. I poszedł. Całą noc oglądałam siebie jako Księżną w dziele, którego nie znałam, widziałam swoją wielką rolę Księżnej u Witkacego. Nie mogłam spać. Czekając. Radwan przyniósł mi tekst. Szukam Księżnej. Patrzę, dwie kartki! Pomyślałam sobie; Ja, ja Ewa Lassek, mój Boże, mam grać te dwie kartki? Nie. Ale poszłam na próbę i zafascynował mnie... Tak bardzo chłonełam to, co mówił, że wydawało mi się, że zemdleję. Dziecko, ja wychodziłam chora z tych prób. Ja o niczym innym nie myślałam, jak tylko o tych dwóch kartkach... Ja żyłam tą rolą. Jakież otworzył we mnie przestrzenie! Jak bardzo potwierdził moje myślenie o mnie samej. Zawsze byłam Księżną. Moja godność zawsze mówiła mi, że Księżną taką jestem. Dlatego przebaczam wszystkim. Ludzie są dobrzy. Studenci są kochani. Oni tu przychodzą, tu, w szpitalu robimy próby, a kiedy jestem w domu, przyjmuję ich w domu i tam robimy próby. To takie cudowne dzieci. Kalita, Marta Kalmus i ten zdolny Szymon Kuśmider. To piękni ludzie! Jak ja odzyskuję siły, kiedy czekam na te próby. Ja się

natychmiast regeneruję. Moje zdrowie wraca do normy. Ja wierzę, że dzięki nim ten kraj i ten teatr staną się czymś wartościowym. Kiedyś doznałam szoku, gdy zobaczyłam *Pragmatystów* z Jeleniej Góry. Byli w Krakowie. Dzięki nim uwierzyłam w teatr. Rozpłakałam się i było mi żal, że oni tak istnieją, a ja przestaję istnieć. To był chyba 81 rok... Ja teraz uczę godności i wiary w teatr tych młodych ludzi i oni w to wierzą. Słyszysz, wołają mnie na kolację... Szukają mnie... znowu mnie szukają... musimy zejść.”

Schodzimy po długiej klatce schodowej w dół. Siostra wiezie garnki z kolacją. „No, pani Ewo, gdzie to pani chodzi? Wie pani, że nie wolno pani chodzić.”

„Och, dziecko, cóż mamy na kolację... Spójrzmy... No, tak, mamy pyzy, pyzy. Przepraszam cię kochanie, że się spóźniłam, ale miałam bardzo ważną sprawę do omówienia. Bo ja cały czas pracuję, cały czas pracuję i przepraszam cię, kochana, ja zaraz je zjem, nawet jeśli nie są już gorące. Nie zapomnij pozdrowić wszystkich. Do widzenia, do zobaczenia.” „Szymonie, powiedz mi coś o waszej pracy, kiedy z Ewą Lassek mieliście ćwiczenia, a potem próby nad *Dwunastoma gniewnymi*.” Szymon Kuśmider. IV rok PWST Kraków:

„Było to tak, że każdy przyniósł propozycję dramatu, w którym chciałby zagrać. Mieliśmy wybrać taką sztukę, w której coś zaiskrzy, tzn. pojawi się temperatura widziana przez oczy, przez oczy Ewy. Kiedy wstanie i usiadzie albo kiedy nagle dłonią uderzy w poręcz krzesła i powie: »Rozumiem... Nigdy nie mówiła: »Gramy«. Mówiła: »Rozumiem, akceptuję, tak, to dobre tworzywo, fascynujące... Kiedy mówiliśmy o sztukach, które nie dawały iskry, Ewa Lassek mówiła zawsze to samo: »Nudzę się, potwornie się nudzę!«. To tak, jak Księżna mówi o Plazmoniku w *Bezimiennym dziele*: »Nudził się, nudził, potwornie się nudził. Musiałam go czymś zająć«. Ona była Księżną, my – Plazmonikami. Więc, gdy zaiskrzyło, szukaliśmy obsady. Czytaliśmy tekst razem z Ewą Lassek. Każała nam czytać piętnaście i dwadzieścia razy. Czytaliśmy na przerwach, w akademiku, czytaliśmy w kółko myśląc tylko o niej. A kiedy obsadziliśmy się w rolach, mówiła: »Proszę to jeszcze raz przemyśleć. Nie rozumiem. Nudzę się waszymi postaciami. Są mi obce. Nie dają mi czasu. Nie dają mi refleksji. Potworna nuda«. A więc samo obsadzenie trwało cztery tygodnie, czasem nawet dłużej. I wreszcie, jeśli postaci były nudne, poza paroma przypadkami, sama nas obsadzała. Mówiła zawsze: »Kiedy próbujecie tekst sztuki, pamiętajcie, że on się dzieje przy drzwiach zamkniętych, przy drzwiach zamkniętych! Nikogo nie ma... nikt was nie widzi. Pamiętajcie o kontrapunkcie. Tekst i jego interpretacja nie jest tym samym! Mówcie przeciwko postaciom. Walczcie z postaciami. Walczcie z nimi, bo tylko tak je pokochacie. Dlaczego mówisz tekst w ten, a nie inny sposób? Dlaczego powiedziałyście ten tekst tak? Daj mi argument«. Argumenty nasze zwykle ją nudziły, czasami cudem jakieś przewrócenie kieliszka na stole albo zrzuconie laski stawało się powodem do zbudowania prawdy postaci i od tego zdarzenia, od tego szoku wywołanego przewróceniem kieliszka, przypadkowym zrzuconiem laski, rozpoczynał się dramat. Nie była demokratyczna. Do niektórych kolegów nie mówiła ani słowa, patrzyła tylko szeroko otwartymi oczami, które nie kontrolowały żadnego ruchu, ale obejmowały całość sceny. Wywoływała przymus grania w tych postaciach, które – jak to nazywała – iskrzyły. Zobaczyłem w tym jakby metodę położniczą. Ona wyradzała z nas pód. Nie dyktując, ale prowokując. Nie zapomnę tych najbardziej prowokujących, jakie nam przekazała: »Nuda, nuda, nudzę się! Co to jest? To jest recytowanie tekstu«.

Przez napięcia i temperatury przechodziliśmy z wielkimi oporami. Zajęcia nigdy jednak nie kończyły się nienawiścią lub odrzuceniem. Raczej miłością. Często mówiła na tych zajęciach, że trzeba uderzyć i potem odpuścić. To poszerza perspektywę i to buduje nowe napięcia. Trzeba podporządkować tekst temperaturze człowieka, temperaturze takiej, jaką każdy ma w sobie samemu. To nazywała talentem. Talent to jest temperatura tworząca aktora i nic więcej. Ile razy temperatury te wywoływała bez używania słów! Bez najmniejszego ruchu. Mówiła tylko przez oczy i przez szczególne akcentowanie niektórych słów. Np. słowo: i n t e n s y w n i e, mówiła jako i n t e n z y w n i e, z wielkim ryczącym »z« w środku. »Intenzywnie«, jakby przeciw miękkości swojego »Lassek«.

Co się dzieje w człowieku, kiedy odłączają się po kolei wszystkie części jego geniuszu? Jak wysoko trzeba podnieść głowę, przeciwko pospolitości, przeciwko walce o rolę, żeby nie popaść w niezgodę z samym sobą?...

JUBILEUSZ WIELKIEJ AKTORKI

Z „Miasta snu”. Część II, epizod 2

KRYSTIAN LUPA

Ewie Lassek – Wielkiej Aktorce

Stała na samym brzegu trotuaru, jakby zawieszona nad pasmem ulicy. Zastygła, nieruchoma, zdała się być zamyślona lub wstuchana w jakiś bardzo niski, powoli zbliżający się dźwięk. Przeszedłem na drugą stronę, a kiedy się obejrzałem – ona, nadal wpatrzona w ten sam punkt – podniosła rękę do twarzy:

– Ten GEST!...

Luna Berg!

LUNA BERG!

Jak na mojej fotografii!

.....

Jestem pijany...

Jeszcze raz:

LUNA BERG, LUNA BERG. Jak na mojej fotografii.

Powiedziałem to tak głośno, że prawie krzyknąłem, jak mi się teraz wydaje... i niemożliwe, by nie styszafa, ale się nie poruszyła i trzymała ten gest, jak na mojej fotografii.

Podchodzę do niej, jakby do świętej. I klękam. Nie, nie, nie klękam:

– Luna Berg.

Stoi przede mną w Państwie Snu.

Czy mogę do pani mówić, czy mam odejść?...

Czterdzieści jeden razy widziałem *Męczeństwo Joanny*...

– Ach to ty?

Zapamiętałem pana twarz. TWARZ Z PIERWSZEGO RZĘDU.

– Pani mnie widziała?

– Widzę wszystkich.

– Napisałem do pani list.

– Nie pamiętam, tyle ich było...

– Ten był jeden: „...Czekam na moment, kiedy przestajesz być człowiekiem, a stajesz się kukłą...”

– A ten pamiętam. Bo zabolął. Był niesmaczny i głupi... Nie myślałam, że to ty...

– Mój Boże! Pani mnie źle rozumiała. To było tak dawno. Myślałem, że byłem bliski prawdy i pragnąłem, żeby mi pani wyjaśniła, ze swojej strony, od środka... TEN MOMENT... bo wiem, że pani wyczuwa go w tej samej sekundzie... KIEDY ZACZYNA PANI JAKIEŚ NOWE ŻYCIE W ZATRZYMANYM GEŚCIE. Wiem... bo od tej chwili jest pani wstuchana w jakiś NAKAZ...

Zobaczyłem jednak, że już mnie nie słucha i rozgląda się niecierpliwie i z roztargnieniem:

– Więc teraz mi pan pomoże... bo był pan moim adoratorem. Pomoże mi pan przejść. Przez tę ulicę. Boję się przejść. Czasem mam takie... Pan mi się bardzo nadarzył. Proszę mi podać rękę.

– Oczywiście – co mam robić?

– No... chodźmy.

– Tak! Już!

– Niech pan zaczeka. Chcę jeszcze pomyśleć... A zresztą, chodźmy! Mam bardzo mało czasu. DZIŚ JEST MÓJ JUBILEUSZ. Gram Gertrudę w *Hamlecie*, za piętnaście minut powinno się zacząć.

– To już jest bardzo późno!

– Tak, już bardzo późno. Niech mi pan poda ramię. Ach, na nic się nie przydaje ta pana... ta twoja miłość...

Wreszcie przeszliśmy jakoś. Zatrzymała się przed wysoką, zardzewiałą furtką. Za nią mroczna czeluść, wilgotna ciemność:

– No, więc cóż? Wejdzcie pan ze mną?

– Nie mam biletu...

– Nie chcesz mnie widzieć w *Hamlecie*?

– Bardzo... tylko...

– Boisz się mnie?...

Pan mnie podziwiał jako kobietę i jako aktorkę... A teraz... Boli mnie głowa.

Potrzebował pan piękna... a ja byłam daleka i nieskazitelna...

Więc chodźmy!

Pokażę pana. Przedstawię im wielbiciela. Mojego adoratora...

To przecież dobry znak... to nasze spotkanie.

To przecież nie był przypadek.

NIE MOŻNA TEGO UTRACIĆ!

a pokazując palcem mroczną przestrzeń za płotem: To są hieny!

Trupy czekające na moją śmierć!

Wtedy im się wszystko wyrówna. Nie będzie wtedy tej wołającej o pomoc do nieba niesprawiedliwości, jaką jest wielkość.

Jestem sama... naprzeciw nich... i wszystkim... I BEZ NICH!

Zawsze tak było i zawsze to lubiłam.

TO SAMOTNOŚĆ MNIE WYWYŻSZAŁA.

Z niej się wszystko rodziło. Z tego potężnego napięcia... Między mną i próżnią!

Ale dzisiaj mam pana, tak jak... TAM! WTEDY!... w pierwszym rzędzie!

Od dłuższego czasu trzyma mnie, jej ręka powtarza perswazję. Druga wciąż naciska na klamkę. Towarzyszy temu przenikliwy pisk, lecz furka nie ustępuje:

– Zamknięte? Ha, ha, ha... zabawne... Zawsze było otwarte...

Będzie mi pan musiał pomóc przejść przez ten płot...

– Ale czy my... Czy to jest właściwe wejście?

– Nie chcę wchodzić właściwym wejściem. Nie chcę, żeby ktoś widział, jak przychodzę. Chcę od razu być!

Proszę pana, niech pan przejdzie przez płot i poda mi rękę.

a widząc moje wahanie:

Jest już bardzo późno. A to jest wspaniałe. Jak kiedyś...

W milczeniu wspiąłem się na płot. Potem podałem jej rękę. Wspięta się na górę z determinacją i tam znieruchomiła:

– Pan drży?!...

a po chwili:

Pan myśli, że trzyma umarłą?

Przeniósłem ją nieruchomą na drugą stronę i postawiłem na ziemi.

Przed nami rozpościerał się labirynt teatru:

– NO TO TERAZ ZACZYNAMY!

Przeistoczyła się. Podniosła głowę i zaczęła iść nabierając wewnętrznego rozpędu:

– Dobry wieczór. Przedstawiam wam: To mój dawny wielbiciel. ADORATOR! STAMTAĐ!...

...

SUKNIA!

Podbiega biała jak ściana garderobiana, mówi głosem cichym, ledwie słyszalnym:

– Ja już schowałam...

– Dlaczego?

– Bo przedstawienia ma nie być...

– Niech pan podejdzie...

a do garderobianej:

Już późno, pospiesz się dziecko!

Wchodzi za rozpięcie i zaczyna się przebierać. Garderobiana pomaga jej, dając rozpaczliwe znaki w stronę aktora, który zbliża się niezdecydowanie. Ona ponownie przywołuje mnie. Otwiera czarne pudełko, z którego wybiera poźótkkę, ledwie rozpoznawalne fotografie, relikwie przeszłości:

– To właśnie *Męczeństwo Joanny*...

To też.

A to Judyta.

Młoda aktoreczka, pewnie wielbicielka Luny, nieustannie zbliża się do niej, to znów oddala, odchodzi w kąt, to znowu się zbliża z błagalnym, żebrzącym wzrokiem...

– Zdjęcie mojej twarzy i moich rąk...

Hedda Gabler.

I... czarna opaska na oczy...

Podaje mi kolejne relikwie, na wpół wychylona zza parawanu, poddając się ubieraniu, co chwila sprawdzając swój wygląd w lustrze. Nagle jakiś głos w głębi mówi donośnie, choć niezbyt wyraźnie:

– RZUC TO! NIE BĘDZIE PRZEDSTAWIENIA.

I istotnie rozlega się brzęk tłuczonego metalowego przedmiotu. Luna obejrzała się.

– DLACZEGO?

Podchodzi śpiesznie aktor i mówi do niej dyskretnie ścisząc głos:

– Pani Luno! Musimy dziś odwołać przedstawienie.

– Dlaczego?

– Przecież pani wie, co się dzieje. Na widowni trzy albo cztery pijane indywidualia spragnione skandalu...

– Tak?

– Aktorzy nie wszyscy przyszli...

– Tak? Nie wszyscy?

– A inni już wyszli...

– Ale ty zostałeś?!

– Ja zostałem tylko ze względu na panią.

– Przypuszczam. Więc czemu nie w kostiumie?

Garderobiana dopina ostatnie haftki. Luna poddaje suknię próbie gestu – unosi ręce. Tymczasem z drugiej strony sunie ku niej zatroskana aktorka, niesie w wyciągniętych przed siebie dłoniach namaszczonej czułości, dotyka delikatnie ramienia Luni i już się skłania do tej łagodnej, klejącej pieczyoty, jaką uśmierza się płacz rozhisteryzowanego dziecka:

– Droga moja...

Luna uwalnia się od tego dotyku, jak od spadłego na włosy liścia...

– Ubieraj się, Hamlecie, jak śmiesz stawać przed matką w tak bezwstydnym negliżu?

Jej twarz w lustrze napięta, skupiona, a palce kreślą symetryczne linie pod oczami – od nosa do policzków:

– Więcej pudru! Twarz jasna! Prawie biała!

Tampon z pudrem z rozmachem lądjuje na czole – wokół twarzy Luni unosi się biały obłok. Dłoń zatroskanej aktorki jeszcze raz próbuje spocząć na jej ramieniu:

– Droga, kochana...

– Hamlecie! Pleć twa biała, pierś nie owłosiona, niemowłęce tono, po którym wędrują ślimaki... TRUPIE... brzydzi mnie. Więc się ubieraj!

Aktor z trudem panuje nad sobą – w policzkach rozbiegały mu się muskuły, zacisnął poły szlafroka:

– Pani Luno, pani wie równie dobrze jak ja...

– Nikczemny chłystku! Nędzny aferzysto? Wiem dużo lepiej niż ty. Do czego zmierzasz – wściekły aferzysto. Od miesiący smażyysz to przedstawienie... Ten żałosny spektakl godzący we mnie...

– Pani jest chora! Pani powinna się leczyć!

– Cśśś... nie w ten sposób...

Dłonie zatroskanej aktorki zapobiegawczo podpyływają ku rękawom szlafroka... te dłonie są zbyt przekonujące – Hamlet obraził się, odchodzi, więc już płąsy gestów okrążają Lunę:

– Luno droga, my cię wszyscy kochamy i pragniemy uchronić cię od śmieszności.

– Uchronić od śmieszności? Jaszczurko, co udajesz kobietę w żalonym panoptikum mojego „SYNA”... i parodujesz mnie jałowo... swym tonem nie tkniętym macierzyństwem...

Mnie uchronić?

OD ŚMIESZNOŚCI????!!!

JA JESTEM TEATREM!

SAMA!

I WE MNIE JEST TEATR!

CAŁY!

JEST WE MNIE PĘD I BÓL...

I WSZYSTKO!

I ŚMIESZNOŚĆ!

SAMA ZAGRAM TEN SPEKTAKL.

– Opamiętaj się... droga moja... dla kogo?

– Dla niego. Mój adorator. WIDZ Z PIERWSZEGO RZĘDU! Nie jesteście godni całować mu stóp!

Dla niego będzie ten spektakl.

PROSZĘ O ŚWIATŁO...

Wychodzi zza parawanu – gotowa – płonie gorączkowym blaskiem. Młoda aktoreczka wchodzi w orbitę, jej wargi ruszają się szybko w rytmie panicznej zdrowaśki. Teraz przypada do jej boku – szpatmatycznie zafamane ręce wyciskają w przestrzeni magiczne sugestie:

– Ja z panią... Ja pani nie opuszczę... Zagram pani Ofelię ...

– Ty? Ofelię?

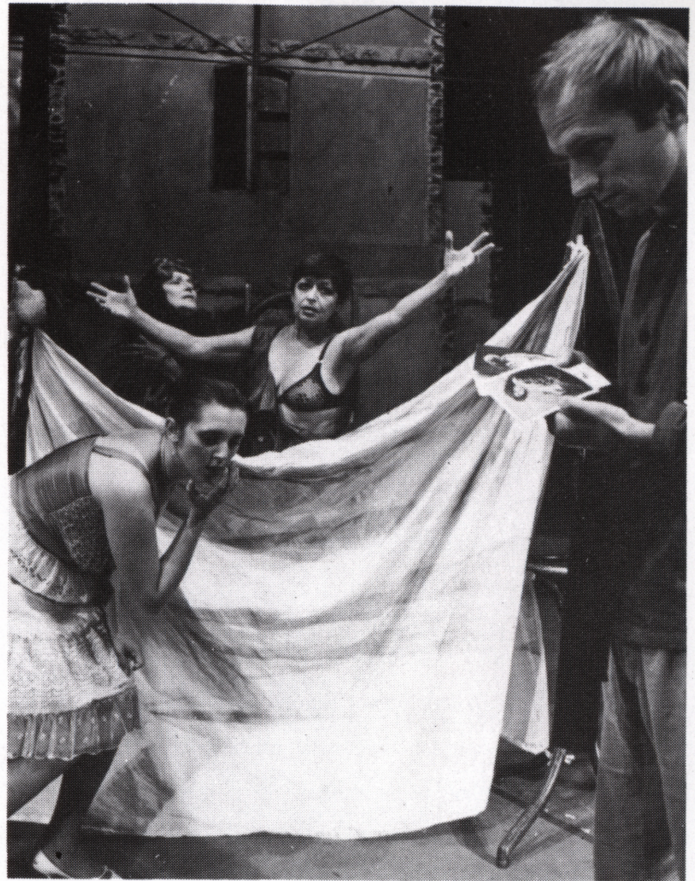
– Umieć cały tekst:

Jakże wśród innych miłego twego

Poznam oczyma

Miał on kapelus z muszlą, sandały

I kij pielgrzymia



Miasto Snu Lupy w Starym T. im. Modrzejewskiej w Krakowie (1985). Na pierwszym planie: Grażyna Laszczyk (Aktoreczka), Andrzej Hudziak (Ja), w głębi: Ewa Lassek (Luna Begr). Reż. i scen. Krystian Lupa

Umarł i rzucił nas, pani taskawa

Umarł i rzucił nas

Już w głowach jego wyrosła trawa

A w nogach głąz...

– Dziecko... po co się tego uczyłaś?

Chce ją ominąć, usunąć z drogi, lecz ta nie ustępuje i już wznosi błagalną litanie innym monologiem:

– O jak szlachetny umysł tu zniszczono

Pana, rycerza, uczonego oko

Miecz, język, państwa pięknego nadzieja

Rozkwitająca jak róża, zwierciadło... Aaaa...

bo widzi, że mówi w pustkę, więc upada w maty biedny szloch odrząconych.

Zauważam teraz, że jacyś ludzie przyglądają się dyskretnie tej scenie, prawdopodobnie personel techniczny zwabiony podniesionym głosem Luni. Zmienia się także wygląd przestrzeni – to już kulisy wybiegają trwożnymi skokami w przyczajoną, czekającą czeluść. Idę za nią krok w krok. Kilka kroków za nią – bo trzymam w ręku jej fotografię...

Luna stoi na środku sceny z podniesionymi ramionami, kofysze się lekko i patrzy w górę, w ciemne oczy reflektorów:

– Elektrycy i maszyniści mnie nie opuszczą. Oni kochają mnie.

Panie Józefie – proszę o wiatr i pioryny, bo teatr jest jak burza.

I ja także...

Mówi to prosto przed siebie i wie, że ją słuchają:

– Niech pan postawi TO – TAM... w samym środku...

Nie patrzy przecież za siebie, a tam w samym środku zostaje ustawiona spowita w giezła figura – zawołowany manekin. Luna przynosi mi krzesło:

– Siadaj tu na tym krześle. BĘDZIESZ WĘDROWCEM I KRAINĄ, WIDZEM I PRZEDSTAWIENIEM, BĘDZIESZ... a zresztą nie wiem... Kochani moi – jestem gotowa – możecie zaczynać!

Mówi to przez łzy – jest wzruszona, nagle wzruszona, sobą wzruszona i przejęta – jak umierający czekająca go wędrownką w mroczne i niewiadome labirynty nicości. Co to jest? Rozczulenie swoją samotną, biedną, rozpaczliwą walką?... Głos jej się tami. Uśmiecha się. Przyryka oczy.

Czeka w sobie na sygnał zaczącia. Gdzieś daleko rozdzwoniły się dzwony, zabłyśły światła reflektorów, a poza ich kręgiem sprężyta się do skoku tygrysia czerń widowni.

I Luna zaczęła – zaczęła od pierwszej swej kwestii:

– Dobry Hamlecie, odrzuć barwę nocy
I zezwól oczom spoglądać przyjaźnie
Na Danię. Niechaj spuszczone powieki
Nie poszukują nieustannie w mroku
Ojca twojego szlachetnego. Przecież
Wiesz, że powszednie to jest, wszystko bowiem
Co żyje, musi śmierć spotkać i odejść
Drogą natury ku nieskończoności...
I już z drugiej strony gniew się w kornej, ale posępnej odpowiedzi:
– Tak pani, to jest powszednie.

A Gertruda patrzy zatroskana na puste miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Hamlet:

Więc czemu

Dziwne wydaje się tobie jednemu?

Hamlet ożywa, mrocznieje, zakreśla dłońią obrys ledwie co minionego kształtu swej matki:

– Matka?... Wydaje się pani...

Wydaje się... wydaje?

Nie znam... Wydaje?

Płaszcz czarny jak inkaust...

Płaszcz czarny jak inkaust!?

Posępne mroczne szaty...

Ojca mojego.....

Gertruda jest przerażona. Ten posępny młodzieniec jest niepewny swych kwestii, płacze się, oczy niespokojne i rozbiegane – szukają ratunku:

– Dość! DOŚĆ! Językiem chorym odpowiadasz!

– Cóż! CÓŻ! Językiem chorym odpowiadasz!

Tak, ten syn jest chory, jest chory – stać go tylko na jałowe przedrzeźnianie matki:

– Sprowadzę innych, by mówili z tobą!

– Sprowadzę innych, by mówili z tobą...

Matka nie może na to patrzeć. Robi paniczny gest, błagalnym wzrokiem szuka ratunku i oto z tyłu rozlega się grzmot – piorun wywołany ręką pana Józefa:

– Ha... Ha... Ha

Widzę cię teraz w świetle błyskawicy

Widzę cię bezgranicznie

Jesteś NAGI!

Przyzywasz mnie w GŁĄB

By ukryć się we mnie

Drzący i spotniały.

Kiedy noc cię chwyciła

W swoje duszne kłeszcze

Dławiła cię i unosiła

I zrzuciła w przepaść...

W tobie był TRUP – Hamlecie

ŚMIERĆ WLEWAŁEŚ WE MNIE

Płynęło przeze mnie zatrute nasienie

Do ciemnej jaskini

Gdzie ciała wiszą głowami w dół

i wyciekają z nich SŁOWA

Spadają kroplami

w grząski grunt

PADA NASIENIE...

i zwraca się nagle do stojącego za nią manekina:

– Co ty masz w głowie potworze? CO TY MASZ W GŁOWIE POTWORZE?

Czemu mnie tak skrzywdziłeś?

Tak sponiewierałeś?

Boże – czym zawiniłam?

Nie wytrzymuje tego mała odrzucona Ofelia na uwięzi opętanego uwielbienia. Wdziera się w spektakl. Ratuje Lunę, pociesza królową, jak tylko biedna Ofelia pocieszyć może:

– Bóg zapłać... Powiadają, że sowa była córką piekarza. Panie... wiemy, czym jesteśmy

Ale nie wiemy, czym możemy być...

– Biedna mała Ofelio, jakże to? Nie widzisz, że przed tobą stoi Ofelia? Stokroć bardziej natchniona?

Ja jestem Ofelią... Nie widzisz? Won!

Ten obłąd należy do mnie!

I ta śmierć!

TAM... UMIERAŁAM JAKO OFELIA!

Ach panie, wiem, czym jesteśmy,

Ale nie wiemy, co się z nami stanie...

Co dalej?

I znów paniczny wzrok biegnie do góry, w światłach reflektorów szuka ratunku, a pan Józef wzbudza kolejny grom. I zrywa się wiatr:

– Ten kraj ponury

Nawisły grozą horyzont

W pionowej chmurze zbliża się

MARTWY I BIAŁY

UCIEKAJMY... nadciąga burza

I wszyscy biegniemy, przez zielony las

Razem z nami biegną dzikie zwierzęta

W dzikim pędzie

Wszystko traci swe kształty

I teraz płynię rwałym strumieniem

Jak lawa

Tężeje z wolna

I coraz wolniej

I krzepnie

W kształt kropli

MARTWE DZIECKO W MYM ŁONIE

HAMLET – MARTWY PŁÓD

Opiera się o mnie i patrzy na manekin:

– On też był moim adoratorem – ponurym i niebezpiecznym. Czekał na mnie na ulicy i patrzył. DZIECKO I TRUP!

– PATERA?

Wypowiedziałem to prawie szeptem, nie wiem, czy ustyszała. Odbija się od mego ramienia i zatacza się wśród wichru i gęstniejących grzmotów:

– Twój sen mnie strawił

Rozpuściłam się w nim

Nie ma mnie!

Nie mogę nawet umrzeć

Tak jak Ofelia... nie pamiętam...

NIE WIEM JAK UMRZEĆ W TEATRZE!

Wszystko jest śmieszne

Nie ma mnie!

I znowu do mnie – chwyta, porywa z sobą:

– Więc uciekajmy stąd

Chodźmy! WOŁAJ JAK WTEDY:

LUNA BERG!

NO wołaj... no wołaj... jak wtedy... LUNA BERG!

Byeś mym wielbicielem oszuście!

MIALAM SIĘ TU ODRODZIĆ!

Gdzie to jest? Gdzie to jest?

Wołaj – LUNA BERG!

– luna berg

wydobyło się ze mnie słabo i anemicznie:

– Nie słyszę...

Gdzie jestem? Co się ze mną stało?

LUNA BERG????

Chwyta za skrawek gieźta, w które spowita jest figura – chce ją obnażyć, ciągnie – lecz zettłate płótno drze się zbyt łatwo... zbyt łatwo... Luna upada, a postłuszne reflektory gasną, a w potężniejszej ciemności wstaje jej głos:

– Och... jak boli. Gdzie lecę? w CIEMNOŚĆ?...

spadająca gwiazda... w otchłań... ciemną.....



FOT. FELIKS TUSZYŃSKI